

Szpaler rozłożystych lip o zielonych, pełnych koronach. Pomiędzy grubymi pniami biegnie ścieżka. Pasma ubitej ziemi. Ciągłe pochylam głowę w obawie, żeby nie uderzyć się o gałąź wysuniętą nad ścieżką. Wiem, że to niepotrzebne — nawet najniższe z nich nie sięgną mojego czoła. Odruchowo jednak co chwilę zginam kark. Śmieję się...

Aleja dochodzimy do doliny. Po obu stronach wznośzą się łańcuchy niewysokich wzgórz o łagodnych zboczach. Las spływa z nich zieloną falą i wypełnia dolinę.

Zgubiłaś łańcuszek Mruka. Wracamy.

— Wypadł mi z dłoni. Za dużo tego z sobą noszę.

Odkąd cię znam, zawsze taragaś kagańce, smycze, obroże, łańcuszki. Ciągłe chodzisz zaplątana w jakieś rzemienie, pobrzuć metalowymi ogniwami łańcuszków. Kiedyś kupilem ci prezent. Samozaciskowy karabin. Przyniosłem go, a potem zauważyłem, że u smyczy Mruka zwisła śliczny maleńki karabin. O, co wiele ładniejszej od mojego. Było mi głupio.

Wracając dochodzimy aż do miejsca, gdzie aleja biegnie jeszcze przez łąkę. Błask między porożkami korzeniami lipy. Jest łańcuszek; Ogromny, czarny dog przbiega sprawdzając co podnoszą z ziemi. Dotyka mojej dłoni wilgotnym nosem. Poczujemy znajomy przedmiot, traci wszelkie zainteresowanie. Oddala się miarowym truchtem z powrotem w stronę lasu. Idziemy za nim. Czarna sylwetka w prześwicie między drzewami. Jak spory żrebak.

Znowu las. Słońce prześwieca czerwionawo przez brzozi. Niedługo zachód. Zostałaś z tyłu. Odracamy się.

Obraz — odrzniętym Czasem można zobaczyć coś takiego w radzieckich filmach. Dno akwarium pełne rozpylonego światła. Migotanie brzoźwanych liści. Białe pnie znaczone ciemnymi plamami. Dochodzisz wolno do mnie. Idziemy dalej.

— Mruk! Do nogi.

Ogarnia cię niepokój, jak zawsze, gdy straszysz go na dłużej z oczu. Zwykle śmiejesz mnie to. Nabijam się z tej kwoczej troski. Dopiero wczoraj opowiadałaś o psach, które utraciłaś. Jamnik, mały kudłaty kundel, seter irlandzki spoglądały na mnie z fotografii. Teraz z mi-mowolnym napięciem rozglądam się dokoła.

— Mruk! — Przeciągły gwizd. Parę początkowych taktów melodii kuranta ze „Strasznego Dworu”.

Trzask suchych gałązek, sapanie. Pokazuje się: zwaliste ciało, rozdzielająca paszczę z wywalonym językiem. Uszy postawione. Dog zatrzymuje się u twojej nogi.

Rozrywam opakowanie paczki sucharów. Kropelki śliny na czarnych, lekko obwisłych wargach. Nie rusza się od nogi, lecz łypie ślepiami ku mnie. Długi i cienki ogon rozpoczyna wahadłowy ruch. Ślina kapie na trawę. Podchodzę bliżej, wyciągam zachę-

Krzysztof Skupiński (pseudonim w KMA „Domowina”) jest już studentem II roku historii Uniwersytetu Śląskiego. Wyśladaj nam to opowiadanie prosi, aby zaoszczędzić mu kłopot biograficzny. Długo na tym koczujemy. Jest szóstym członkiem KMA debiutującym na tych honorowych kolumnach. Kto następny?

ZWYCZAJNY KONIEC WAKACJI

KRZYSZTOF SKUPIŃSKI

cajaco dłoń z kawałkiem suchara.

— Fe... nie rusz.

Odsuwa pysk. Klepięz go po łbie. — Dobry piesek! dajesz mi suchara. Ogromne byłoby wyrażenie być bardzo ukontentowane.

Słońce dotyka grzbietu wzgórz. Zbaczamy ze ścieżki. Wysoka trawa sięga po kolana.

— Tu było kiedyś drzewo...

Martwy drewniany szkielet. Ogołocone z kory, powykłękane konary. Widac pęknięcia odchodzące od licznych سکوں. Umarłe drzewo góruje nad pobliskimi zielonymi koronami.

Idziemy dalej. Wyprzeczasz mnie parę kroków. W porządku kierunku naszego marszu wytrasa jakieś ogrodzenie. Niska podmurówka. Na niej żelazna, powyginała ozdoba kręta. Z góry ostrza w kształcie laurów liści. Żelazne, kute róże o schematycznie zaznaczonych płatkach. Wszystko czerwionawe od rdzy. Gdzieś tam przety powymyślone z muru. Za kratką kłębią się chwasty, krzewy zdziczałych porzeczek. Nad nimi wznosi się brzoźwa, drewniana ślana jakiegoś budynku.

— To „Dom pod Łosiem”. Dawniej była tu leśniczówka. Goście bawiący tutaj urządzali sobie konne spacery aleja. Strony dach kryły gontami. Otwory okien z powbijanymi szybami. Dzień dogasa. Szczyty wzgórz zachowują pełny blask. Tu, w dole zaczyna szarzyć. Obchodzimy ogrodzenie. Z боку wypielają jeżyny, czeplając się nóg. Idziesz przede mną. Z uporem przedzieramy się wzdłuż kraty. Zarośnięta trawa ścieżka. Zdziała trawy nie mają nawet śladów zdeptania. Ludzie rzadko tu zaglądają.

Fronton domu. Nad gankiem leń kosa z szeroko rozłożonym wieńcem łopatających rogów.

— Teraz nikt tu nie mieszka — mówisz, wodząc delikatnie palcem po zadrapaniach na nogach — lubię tu przychodzić.

Urwana furka zwisła na jednym zawieszce. Muszę ją trochę unieść, żeby otworzyć. Smętny pisk starego żelastwa.

W poręczkach trzepocze się parę ptaków spłoszonych naszym przybyciem. Mruk galopuje w ich stronę.

— Wróć! — osadzasz go w miejscu. Zmieszany zawraca i podbiega do ganku. Zmurszało stopnie kilku schodów. Obawiam się, że przegnie drzewo zapadnie się pod stopami. Próbuje. Wyttrzymało, lecz nie ryzykowałbym tupnięcia. Stoję na deskach ganku. Przez szpary między nimi wychylają się zielone badyle jakiegoś zielska. Polworne, przejmujące skrzyplenie. Jakiś odzwalał się nie tylko deski podłogi, lecz i rozszesniste słupy podtrzymujące dziurawy daszek. Orientuję się, że tak jest w rzeczywistości. Podłoga, uginając się pod mną, trze o popękane słupy.

Oglądam się. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

palam. Światło włącza się w ciemność. Zaczyna się wirowanie roztrzępanych cieni.

Deski na ganku zaskrzypiały. Odeszłaś od studni. Wilgotny nos Mruka na dloni. Ty stoisz w progu. Rozglądasz się.

— Tu była kiedyś sala reprezentacyjna. Rzeźbione zydło, kominiki, ściany wykładane mdrzewiem...

Rzeczywiście. Pukam palcem w drewnianą okładzinę. Dźwięczy odzew zdrowego drzewa — mdrzewa. W kacie spletrzona siatka cegieł i kamieni — kominiki.

Przechodzisz całą długość pokoiu, aż do pustych okien. Ślaspas cicho w leniwoskach. Brzęczy łańcuszek Mruka. Przypłyłyśmy się nie tylko deski podłogi, lecz i rozszesniste słupy podtrzymujące dziurawy daszek. Orientuję się, że tak jest w rzeczywistości. Podłoga, uginając się pod mną, trze o popękane słupy.

Oglądam się. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Wychodzisz z studni. Nie idziesz za mną. Stoisz przy studni. Twoje włosy opadają z ramion i zwisają nad cembrowiną, osłaniając twarz. Oparty o wątlą bastradę na ganku czekam cierpliwie.

Świeczka migocze na stole. Milczymy.

Drewniany dom gada, skrzypi, pojękuje rozchylonymi belkami, trzeszczy deskami podłogi.

— Chciałabyś tu mieszkać?... Gdzie ty nie chciałabyś mieszkać! Nie dalej jak wczoraj zachwycałaś się olbrzymim domiskiem. Mnóstwo ostrych wieżyczek z czerwonej cegły, ściany ubrane dżikim winem, stromy dach kryty dachówką...

Powtarzasz — chciałabym tu mieszkać — ze sforą psów. Tamten pokój zostawił dla kotów. Nawet szych by się nie wstawilo, żeby mogły swobodnie wychodzić.

Kiwam głową do wótru rozkołysanym cieniem.

— Za domem jest przybudówka. Tam stały dwa konie...

Mruk pomrukuje. Klepięz go po łbie.

— Trzeba by tylko odbudować kominiek. Reszta została taka... skrzypiała. Lipom trzeba by przycięć gałęzie na wysokość jeźdźca...

Mówisz cicho. Tak opowiada się pięknie i smutnie bajki.

— Ten drugi koń byłby dla ciebie... — uśmiechasz się lecz oczy pozostają poważne. Pies podnosi się także, pomrukując — tym razem z niezadowolaniem. W schodach brak paru stopni. Roztopiona staryna ścieka mi po dloni gorącym strumyczkiem.

Na głosi sześć pokoi. Puste. Słoma powyłekana z sienioków. Włazisz do każdego po kole. Zostaje na korytarzu.

Bajki... bajki... Nie wolno przynosić się, to tylko bajki. Nie potrafię jednak powstrzymać żalu jaki musi odczuwać dziecko, gdy pewnego dnia dowiaduje się, że bajki... to tylko bajki. Nie wolno... Czuję, że mało brakuje, abym zaczął mieć pretensje do ciebie. Idolotym.

— Żydel-kuternoga.

Opiaram się o ścianę. Sweter ścięra pewno całe pokłady kurzu.

— Tu były pokoje gościnne — podchodzisz do mnie. Przylutasz się. Twarz schowana na mojej piersi. Stearyna kapie ci na włosy. Dotknięcie wargami mojej szyi. Niezgrabnie, trzymając w jednej ręce świeczkę, drugą obejmując cię, przyciskam. Pragnienie zatrzymania tej chwili. Nieodmienna irytacja na ten brak wiary, na dziesięć bunt przeciw upływającemu czasowi.

Pierwsza myśl o powrocie. Wiem, że czujesz to samo. Już jesteś na lipowej alei. Na początku drogi do domu. Masz w uszach łoskot podłogi, którym oddaje. Odsuwamy się od siebie. Trwa beznadziejne, ponure milczenie.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.

Drażnią mnie te słowa. Niepotrzebnie przyznanie się do poniesionej porażki. Mruk pęta się pod nogami.

Ogarnia mnie złość. Tak przecież nie można. Odejdziemy, ale dopiero za chwilę, za godzinę. To dużo... godzin... cholernie dużo. Zresztą sama o tym dobrze wiesz.

— Nie skalecz się — niepokój w twoim głosie, gdy wysuwam głowę przez pusztę ramę okienna. Tkwią w niej ostre odłamki szkła.

Oddycham głęboko. Ruszył się wiatr. Drzewa leniwie szumią. Chłód na twarzy — orzeźwienie. Czuję, że patrzysz na mnie. Teraz ty utrwalaś obraz. Lokujesz go w źrenicach.

Chwyta mnie śmiech. Kładziesz mi dłoń na ramieniu. Pocałunek. Znowu śmiech. Także twój.

Zaczynamy gonić się po całym piętrem. Świeczka zgasała, rzuciłem ją w kąt. Huk zatraskiwanych drzwi. Grzmienie, basowe poszczekanie Mruka. Pies usiłuje w przelecie uchwycić nas za ubranie. Skacze z połowy schodów. Nogł po kostki grzezną w zmurszanych deskach podłogi.

Porwy śmiechu obezwładnia mnie całkowicie. Zwijam się bezradnie, wyrwam stopy, lecz nie mogę się podnieść. Śmieć mnie przyniata. Szorstki język na twarzy. Ogarnia się jak od muchy, wymachując rękoma.

Rozjaśnia się. Schodzisz po schodach z tapalną świeczką. Śmiejesz się na widok mej walki z Mrukiem. Rozanielone byle przyszykuję mi ręce łapami i jęzdzki językiem po policzkach. Wreszcie odycham go.

Schodzisz po schodach. Świeczka. Uśmiech... świeczka... plomien, cienie rogów w podrygach na ścianie. Dmuchać na świeczkę. Zostaje uśmiech w ciemności.

Miękkie, wilgotne wargi o słownym smaku. Smak śmiechu. Wracamy. Schodzę ze schodów ganku. Z łałem stawiam stopy na twardej ziemi. Szkoła, że ona nie potrafi skrzypieć.

Zbliżam się do studni, nychalam. Wycham głęboko zapach wilgotnego mchu, mokrych kamieni.

Zamykam furkę zgryzta jednym zawiąsem. Dom wrasta w ciemność. Ledwo widoczny, ostro pozalanywany dach, wznosi się pod rolnie wygwieżdżone niebo. Wracamy. Mruk prychna w zaroślach. Odnajdujesz ścieżkę, dochodzimy nią do szpaleru lip.

— ...kiedyś aleja ta była dla konnych przejażdżek...

Chwyta pełną garść liści. Podaje ci wilgotne od rosy. Chowaś je do kieszeni. Zuje jeden z nich. Język drętwieje od gorzkiego smaku.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.

— Chciałabym tu zostać — mówisz po długiej, bardzo długiej chwili.</